

Henryk Hollender

Między utopią, chaosem i milczeniem: polityczne aspekty powszechnej cyfryzacji i bibliotek elektronicznych

Forum Bibliotek Medycznych 1/2, 307-315

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dr Henryk Hollender
Warszawa – PW

**MIĘDZY UTOPIĄ, CHAOSEM I MILCZENIEM.
POLITYCZNE ASPEKTY POWSZECHNEJ CYFRYZACJI
I BIBLIOTEK ELEKTRONICZNYCH**

Streszczenie

Przejęcie na nośniki cyfrowe jest nieuchronnym zjawiskiem cywilizacyjnym. Może ono jednak przebiegać według trzech zasadniczo odmiennych scenariuszy. Wykonalna staje się (1) daleko posunięta integracja wszechświatowych zasobów bibliotecznych, ale również może ugruntować się (2) znany z Internetu chaos, polegający na tym, że współdostępne będą dokumenty różnej rangi merytorycznej i różnego stopnia faktycznej pełnotekstowości. Pojawia się też (3) zagrożenie trwałego wyłączenia z obiegu tych treści kultury, które nie zostaną włączone do cyfryzacji lub zostaną włączone w sposób niestandardowy. W regionach świata, w których oddolnie organizowane procesy publikowania elektronicznego i digitalizacji nie zapewniają harmonijnego przyrostu dostępnych zasobów cyfrowych, niezbędna jest centralna koordynacja i planowe wzmacnianie dostępności tekstów o znaczeniu strategicznym. Wybór takich tekstów ze sfery nauk praktycznych, zwłaszcza - medycznych, musi być poprzedzony poznaniem faktycznych dróg obiegu informacji naukowej w obrębie kraju, tak by powstał system zdolny do samoregulacji i rozwoju.

Abstracts

A shift from print to digital is what future has for us all. It can, however, happen according to different scenarios. We can imagine (1) advanced integration of all the world's textual resources, (2) Internet-like chaos, integrating what better remained scattered, or (3) lost of valuable heritage because it will remain non-digital, or it will become digital but fail to meet mainstream standards, and thus escape communication networks. We are in the region in which bottom-up activities in electronic publishing and e-content production are insufficient for catching up with the trends. Several projects in the field of electronic libraries in Poland are characterized, and a better deal for access to electronic texts is proposed, with a stress on science, technology and medicine publications. What is needed is a self-regulating system which would feed vital scientific communities with online full-text information while respecting traditional patterns of science writing and publishing.

Informacja naukowa jest dziś domeną łączności elektronicznej i dokumentów, których cyfrowa natura i cyfrowy sposób wytwarzania są doskonale widoczne zza ich tradycyjnej i nieuniknionej ze względu na właściwości ludzkiego umysłu postaci – tekstowej lub graficznej. Kierunek ten wydaje się już określony, a próby negocjowania

go wynikają z ignorancji lub nostalgii. Dokument drukowany zaczyna być kopią – często ogromnie poręczną i przydatną – dokumentu cyfrowego, ale już wkrótce nie będzie odgrywał nawet takiej roli, jaką w XVI odgrywał rękopis. Wskazuje na to rachunek ekonomiczny. Sporządzenie jednego odpisu było zawsze tańsze niż wydrukowanie książki lub artykułu w jednym egzemplarzu, podczas druk jednego artykułu czy książki, jeśli uwzględnimy użycie koloru i oprawy, byłby droższy niż opublikowanie tego samego w Internecie – chyba, że całą internetową infrastrukturę utrzymywalibyśmy jedynie do publikowania. Tak oczywiście się nie dzieje. Komputer z peryferiami ma dziś szersze zastosowanie niż najlepsza drukarnia sprzed lat 60-tych ubiegłego stulecia. Przedstawiciel nauk przyrodniczych, medycznych i technicznych prowadzi badania naukowe w laboratorium, w którym ma multimedialną maszynę połączoną z milionami podobnych maszyn na świecie, jednym zaś z wielu zadań, do których można z łatwością zaprząć to urządzenie, jest dostarczanie uczoneму wszystkich niezbędnych mu informacji.

W dodatku nie mówimy już tylko o informacji bibliograficznej, której uzyskanie jeszcze dwadzieścia lat temu było tylko wstępem do pozyskania i lektury właściwego tekstu, ale o dostępności całego wyobraźnego materiału na ekranie jednego komputera. Nasuwa się tu porównanie z dawnym Królewcem jako miejscem, z którego można było się nie ruszać, a mimo to pozostawać „na bieżąco” ze wszystkimi najnowszymi publikacjami naukowymi. Każdy pracownik nauki w swoim należycie wyposażonym laboratorium może czuć się równie dobrze poinformowany co Immanuel Kant w swoim mieście. Całoroczne funkcjonowanie bałtyckiego portu Königsberg, w pełni ukształtowane czasopiśmiennictwo naukowe i rozwinięty handel księgarski dawały mu na miejscu dostęp do wszystkiego, czego mógł wówczas potrzebować filozof. Dziś podobne poczucie tutaj, w Białowieży, mogą mieć pracownicy Zakładu Badania Ssaków Polskiej Akademii Nauk.

Jeśli nie otworzymy się na tendencję do powszechnej i kompletnej informatyzacji wszystkich działań na polu organizacji wiedzy, skażemy się sami na utrzymywanie poboczy i manowców informacji naukowej. Tak jak polski Komitet Badań Naukowych, który w połowie lat dziewięćdziesiątych nie zgodził się finansować baz danych nie przeznaczonych do udostępniania w Internecie, tak dziś my wszyscy powinniśmy oczekiwać, że dostępne już w Internecie bazy biblio-graficzne będą prowadziły natychmiast do pełnych tekstów. „Polską Bibliografię Lekarską” trzeba zatem pytać o to, kiedy będzie dostępna jej wersja internetowa – nie tylko w wersji testowej i nie tylko za rok 2002, a w pogotowiu powinno się też mieć pytanie zasadnicze: czy jest szansa na uczynienie z niej narzędzia wyszukiwania pełnotekstowego. To samo pytanie o pełne teksty dotyczy baz już dobrze funkcjonujących w Internecie: „Polish Scientific Journal Contents” i „BazTech”. Oczywiście prezentacji pełnotekstowej jako standardu cywilizacyjnego możemy żądać jedynie od opracowań wyników badań naukowych oraz od materiałów dydaktycznych. Nie może w tym samym stopniu dotyczyć ono

materiałów klinicznych i innych zestawów danych, które ze względu na przyjęte w nauce procedury albo ochronę własności intelektualnej czy danych osobowych nie nadają się do udostępnienia anonimowemu odbiorcy, nawet płacącemu za serwis.

Coraz bardziej nasuwająca się wizja przyszłości to Königsberg na ekranie komputera – całe lub prawie całe (czyli bez części, którą wolno nam uznać za nieistotną) zasoby ludzkiej myśli otwierające się jako dokumenty elektroniczne zdalnego dostępu. Oznacza to między innymi, że nie będzie już czegoś takiego, jak dokumenty, o których nie wiedzieliśmy. Teoretycznie mamy mieć wszystko. Bibliotekarze, wydawcy, pracownicy serwisów bibliograficznych, „integratorzy” i „agregatorzy” zasobów pełnotekstowych dokładają wysiłków, aby nie było wartościowej literatury niedostępnej. Odchodzi w przeszłość dawny model pracy uczonego, w którym, nawet jeśli wyszukiwanie informacji nie stanowiło fazy ani najtrudniejszej, ani najciekawszej, ani najpiękniejszej – wszystkie te bowiem cechy miało przede wszystkim samo odkrycie, a następnie obudowanie go teorią o dużej sile wyjaśniania – to w każdym razie było źródłem przygód i niespodzianek. W początkach nauki nowożytnej uczeni nie mieli jeszcze w ogóle świadomości, iż w ich fachu potrzebne jest nowatorstwo, nawet jeśli faktycznie byli nowatorami; wydawało im się raczej, że ich praca prowadzi do odkrywania zapomnianych prawd znanych wcześniej gigantom starożytności, i dotarcie do ich tekstów lub ich rekonstrukcja to właściwie cała robota do wykonania. Ukształtowany w XIX w. wzorzec pracy naukowej dopuszczał, iż uczeni nie są równi w swoim dostępie do zasobów literatury; nieformalne kontakty sprzyjały badaczom uznanym, którzy mieli szerszy krąg korespondentów i przyjaciół oraz lepsze „dojścia” do bibliotek. Elementem tego wzorca, z którego folklorystycznymi pozostałościami mamy jeszcze dziś do czynienia, jest traktowanie dobrego źródła informacji jako czegoś, co może, ale nie musi się zdarzyć, należy bowiem raczej do świata szczęśliwych przypadków. W poszukiwaniu pierwszorzędnych informacji uczeni peregrynowali – na początku wszyscy, później zwłaszcza ci ze słabszych ośrodków, poszukując nie tylko wielkich mistrzów i inspirujących seminariów, ale także lepiej zaopatrzonych bibliotek. Przeczesywali zawartość księgarń, sięgali do niepisanej wiedzy ludowej. Duża liczba medyków, którzy oddawali się pisarstwu czy naukom społecznym, wynikała nie tylko z ich szczególnej wrażliwości (jak to nam zwykle przedstawiano) i erudycji, ale też z tego, że uczyli się oni uzyskiwania informacji o schorzeniach, dziwach natury i środkach terapeutycznych z najrozmaitszych źródeł i w każdych warunkach. Prostą konsekwencją takiego pojmowania literatury naukowej była akceptacja dublowania badań, które zostały wykonane gdzie indziej i o których istnieniu nie można było powziąć informacji, a nawet przyzwolenie na wykonywanie badań drugiej jakości, nie opartych na pełnej literaturze przedmiotu i przeznaczonych dla mniej ambitnych wydawnictw.

Proponując pracownikom nauki wyrafinowane techniki szybkiej rekonstrukcji pełnych tekstów publikacji dostosowanych do zamierzonego przedsięwzięcia badawczego, współczesny bibliotekarz traktuje społeczność naukową w sposób maksymalnie egalitarny. Szam otwiera się dla wszystkich, którzy stać na zakup klucza i którzy chcą nauczyć się instrukcji obsługi. I otwiera się zawsze w taki sam sposób, ukazując tę samą zawartość. Uwolnieni od zabiegów o informację, uczeni mogą skupić się na projektowaniu badań. Wyścig uczonych o oryginalność i pierwszeństwo zaczyna się w laboratorium, a nie w bibliotece. Jeśli korzystają z usług instytucji, która ma dostęp do wszystkich liczących się zasobów pełnotekstowych oraz narzędzia do należytego scalania, grupowania i filtrowania informacji, to nie brakuje im niczego – poza, być może, sprawnością w posługiwaniu się całym tym aparatem.

Ale wyszukiwanie, przeprowadzone według algorytmów informatycznych, samo jest algorytmem i ma zawsze jakiś wymierny wynik. Jeśli korzystamy ze znanstwem z dostępnych nam baz, swobodnie przemierzamy się od artykułu do artykułu i jesteśmy pewni używanych terminów oraz gramatyki, to milczenie systemu oznacza zaledwie, że nikt przed nami nie poruszył interesującego nas tematu. Nie oznacza natomiast np., że mieliśmy słabego protektora lub zawodne „dojścia”, czy że staliśmy się ofiarą cięć budżetowych lub cenzury politycznej. Gramy w grę komputerową „wyszukiwanie informacji” i mamy takie same szanse co inni badacze; z pomocą pracownika informacji lub bez niej możemy osiągnąć w niej biegłość lub pozostać w tyle za innymi, choćby mniej utytułowanymi, mniej doświadczonymi czy mniej twórczymi.

Mówiąc w uproszczeniu, wydawcy, bibliografowie i biblioteki przygotowują nam pewien automat wyszukiwawczy, który wszystkich obsługuje tak samo i dla każdego pytania ma swój najlepszy wynik; jeśli go nie osiągamy, to dlatego, że nie potrafiliśmy się w pełni posłużyć tym automatem. Maestria w posługiwaniu się nim jest jednak niczym w porównaniu z maestrią w tworzeniu, przetwarzaniu i obróbce danych empirycznych. Choć łamigłówki naukowe, jak chce Thomas Kuhn („Struktura rewolucji naukowych”), też mają ograniczoną liczbę uprawnionych rozwiązań i każdy pracowity badacz zostanie w końcu nagrodzony trafieniem na właściwe, to jednak rozwiązywanie problemów naukowych jest procesem o wiele bardziej złożonym. Ich wynik jest z reguły otwarty, a porównywanie wyników nie podlega algorytmom, lecz po prostu przejawia się wysoką cytawalnością jednych prac i przepadaniem drugich. (Rzecz jasna, mówiąc o danych empirycznych, usuwamy z zasięgu naszych rozważań matematykę, do których większość tych uwag odnosi się nie może.)

Ale uproszczenie, w jakim przedstawiamy współczesną informację naukową, nie obejmuje rozmaitych przypadków szczególnych; przypadkiem takim są np. kraje o niskich nakładach na naukę i narzędzia służące jej rozwijaniu.

Opisywana tu zamiana wyszukiwania informacji naukowej w grę komputerową w realnym życiu dotyczy nie wszystkich badaczy. Raczej – najlepsze uczelnie w najzamożniejszych krajach, gdzie biblioteki nie tylko udostępniają najszerzej światowe zasoby literatury, ale też korzystają z narzędzi umożliwiających właśnie dokonywanie subtelnych operacji na tym zbiorze, pozwalając na głęboką penetrację tekstów dla wyłonienia wszystkich istotnych odniesień i dopomagając badaczowi w przeformułowaniu zapytania badawczego dla uzyskania precyzyjniejszych wyników i lepszego przygotowania eksperymentalnej fazy poszukiwań. Nasuwa się wszakże pytanie, czy nawet tam możliwe jest stworzenie takiego systemu w postaci skończonej i zamkniętej, a następnie objęcie nim całego świata, tak by rywalizacja pomiędzy badaczami toczyła się na polu ich inwencji badawczej i umiejętności wyjaśniania zjawisk, a nie na polu heurystyki informacyjnej.

Oczywiście pewne wewnętrzne przyczyny sprawiają, że taki system nigdy nie będzie całkowicie spójny. Nie mamy tu wszak do czynienia z katalogiem bibliotecznym, gdzie odpowiedź jest zasadniczo zawsze tylko „tak” lub „nie”, lecz z piśmiennictwem o bogatej i zmieniającej się, żyjącej terminologii (pomijając już kapitalny problem przekładu). Skuteczność wyszukiwań nie jest jedynie kwestią składni, ale i stosowanego nazewnictwa i całego tego intuicyjnego styku ludzkiego umysłu ze światem wiedzy, który nie poddaje się algorytmizacji. Nawet najprecyzyjniej zaprojektowane i najbieglej zrealizowane wyszukiwanie przyniesie dokumenty o różnym stopniu relewantności – w skrajnym przypadku od pełnej do zerowej – i choć zaawansowane systemy potrafią na ogół szeregować wyniki wyszukiwania w kolejności od najprzydatniejszych do najmniej przydatnych, zawsze należy się spodziewać niespodzianek, polegających na tym, że automat nas nie zrozumiał i np. przygotował nam do lektury (wskazując jako na relewantne) dokumenty, które przy „fizycznej” półce bibliotecznej odrzucilibyśmy w ułamku sekundy, ledwo na nie spoglądając. Często takie niezrozumienie wynika z tego, że sami nie rozumiemy naszych potrzeb informacyjnych i żądamy rzeczy sprzecznych lub nieistniejących. Jeśli taki szum występuje w obrębie systemów, gdzie całe używane w wyszukiwaniu słownictwo jest kontrolowane (np. językiem haseł przedmiotowych MeSH), to możemy winą obarczyć jakość indeksu. Ale w dominujących dziś wyszukiwaniach pełnotekstowych nie ma winnego; zarzucanie chaotyczności narzędziom takim jak Google wynika z niezrozumienia ich zasad działania, gdyby bowiem nie wyszukiwały one niekonsekwentnie, to nie wyszukiwałyby niczego. Nie chcemy przez to powiedzieć, że badacz jest dziś skazany na przetrząsanie zawartości śmietnika, bowiem sprawność wyszukiwawczą systemów jak i sprawności wyszukiwawcze żywych ludzi można mierzyć i porównywać; warto wybierać lepsze systemy, sprawniejszych partnerów-bibliotekarzy, no i szkolić się samemu. Ale jakość ma tu zawsze charakter statystyczny: pełna jest nieosiągalna, niedostateczna jest nie do przyjęcia, a słabo przygotowany badacz miota się między tymi skrajnościami, nie orientując się, z jaką ma aktualnie

do czynienia. Wskaźniki efektywności funkcjonowania bibliotek i używanych przez nie narzędzi, dane bibliometryczne na temat dostępnej literatury i samoświadomość naukowca uczonych to trzy czynniki, które – w połączeniu – tę bezradność mogą zmniejszyć.

Tym samym jednak musimy sięgnąć głębiej i ocenić warunki, w jakich sami uprawiamy naukę. Medycyny nie ma w zwyczaju nauczać bez prowadzenia badań naukowych – wymóg, który tradycyjnie uchyla się przy nauczaniu różnych sprawności praktycznych, np. handlowych czy finansowych, a także dużej części nauk społecznych i humanistycznych. Badania naukowe bywają jednak różnej jakości. Akademie medyczne różnią się nie tylko systemami biblioteczno-informacyjnymi, dostępnymi zasobami informacji i narzędziami do zarządzania tymi zasobami, nie tylko wielkością i specjalnościami, ale i miejscem w światowym łańdźcu publikowania i cytowania; co więcej, nie ma ścisłej bezpośredniej zależności między tymi czynnikami i nie da się z roku na rok poprawić miejsca danej uczelni w precyzyjnie budowanych rankingach poprzez zaopatrzenie jej w taki czy inny pakiet, usługę, gateway, portal itd. Istnieją rozmaite obserwacje dotyczące produktywności uczonych w skali światowej, nakładów na badania i udziału poszczególnych krajów w międzynarodowym podziale cytowań. Możemy np. skorzystać z nowego badania nad produktywnością Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej w zakresie podstawowej grupy nauk biomedycznych,¹ z którego wynika, że w latach 1994-2004 produktywność UE stanowiła – w proporcji do ludności – 76% produktywności USA, ale gdyby uwzględnić publikacje naukowe 10 krajów, które w 2004 r. wstąpiły do UE, to wskaźnik ten wyniósłby zaledwie 66%, zaś gdyby jeszcze dodatkowo włączyć tu Bułgarię, Rumunię, Chorwację i Turcję, traktowane umownie jako kraje oczekujące na członkostwo, to wskaźnik ten spadłby do 55%. Takie grupowanie krajów nie obrazuje jednak całego ich zróżnicowania, bowiem wyniki niektórych spośród nowych członków UE (Czech, Estonii, Słowenii i Węgier), choć gorsze niż liderów w grupie „dawnych” członków UE (kraje skandynawskie i Holandia), są lepsze niż najsłabszych krajów w tej grupie.

Dla autorów tego badania słabość nauk biomedycznych w krajach takich jak Polska wyraża się w tym, że stosunkowo niewiele powstaje tu prac, które trafiają do cytowanych czasopism naukowych. Naturalnym odruchem pracownika informacji naukowej wydaje się zapewnienie dostępu do tego zasobu i osiągnięcie swobody w poruszaniu się po nim. Oczywistym celem tych starań jest udzielenie uczonym

¹ Elpidoforos S. Soteriades, Matthew E. Falagas: *Comparison of amount of biomedical research originating from the European Union and the United States* [dokument elektroniczny], *BMJ* 2005 nr 331 (23 lipca) s. 192-194, <http://bmj.bmjournals.com/cgi/content/full/331/7510/192#TBL1>, notowane 14 sierpnia 2005 r. Dyscypliny obejmują: biologię i biochemię, medycynę kliniczną, immunologię, mikro-biologię, biologię molekularną, genetykę, neurologię i badania behawioralne, psychologię i psychiatrię, farmakologię i toksykologię oraz badania interdyscyplinarne

takiego wsparcia, aby mogli oni na równi z innymi uczestniczyć w komputerowej grze o informację i aby sprawnie zgromadziwszy wystarczające dawki tej informacji, mogli skupić się na projektowaniu własnych badań empirycznych. Myślę jednak, że jest i cel drugi, poboczny: dostarczenie najlepszych wzorców literatury naukowej, których naśladowanie może zbliżyć do nadania wysokiej cytowalności własnym pracom.

Mając na uwadze te dwa cele, pracownik informacji staje przed nieuniknionymi dylematami. Na Thomson Scientific Master Journal List („lista filadelfijska”) znajduje się dziś 13680 tytułów czasopism naukowych.² Określona część z nich to czasopisma przydatne w badaniach biomedycznych i pokrewnych. Nie ma w tej chwili znaczenia, czy tych czasopism jest 1,5 tys. czy 3 tys.; można to obliczyć na różne sposoby. Jest ważne, że liczbę tę wyznaczamy za pomocą pewnej techniki, a następnie kierujemy się nią w trosce o kompletność naszych usług. Innymi słowy, jeśli ustalimy, że obsługiwanej przez nas społeczności potrzeba 1,5 tys. tytułów czasopism naukowych, to w obrębie tej liczby musimy poprowadzić naszą grę komputerową – z pełnymi tekstami, wyszukiwaniami wskrośnymi i linkowaniem, jeśli nasi „zawodnicy” mają wywalczyć sobie jakiegokolwiek punktowane miejsce. Powtórzmy: choć miejsce to zależy nie od tego, co oni zdołają przeczytać, ale od tego, co oni potrafią napisać, to jednak wierzymy, że jedno wiąże się ściśle, choć nietrywialnie z drugim i że szybkie zwycięstwo w komputerowej grze o informację umożliwia zaplanowanie i realizację konkurencyjnych badań naukowych.

Ale czy gra komputerowa w obrębie tysiąca czasopism zamiast 1,5 tys. jest o jedną trzecią gorsza? Czy lepsza jest większa baza, ale „zwykła”, bibliograficzna, czy mniejsza baza ze wszystkimi narzędziami, które w zamyśle projektantów mają uniemożliwić nam przeoczenie istotnej informacji? Tego nie wiemy, bo takich badań się w Polsce nie prowadzi. Intuicyjnie wiemy, że potrzeba baz i większych, i bardziej wyrafinowanych, i że muszą mieć one swoje miejsce w wydatkach na badania naukowe. Ile jednak badania naukowe powinny kosztować, tego nie wie nikt na świecie, poza tym, że więcej niż kosztują. W Europie panuje dotkliwe poczucie nie przeznaczania na badania naukowe takich kwot, jakie by zapewniły nauce konkurencyjność równą amerykańskiej; mówi się wiele o tym, że ze względu na gotowość państw azjatyckich do ponoszenia takich wydatków Stary Świat w ogóle przestaje się już liczyć w tym wyścigu.

W Polsce ukazują się ok. 1200 czasopism naukowych, z których część osiąga bardzo niski nakład i stanowi przedsięwzięcie głównie o wymiarze towarzyskim. Zgłaszając postulat włączenia ich do elektronicznego obiegu informacji, i to na cywilizowanych warunkach, nie mamy oczywiście na myśli zamiany ich wszystkich na bazy pełnotekstowe, włączane do powstających bibliotek cyfrowych i obejmowane ujednoliconymi systemami głębokiego przeszukiwania. Musimy

² <http://www.isinet.com/cgi-bin/jrnlst/jlresults.cgi?PC=MASTER>, notowane 14 sierpnia 2005 r.

natomiast na nowo określić kwestie oceny jakości i przydatności tych materiałów. Trudności z określeniem wzorcowych dawek informacji niezbędnych dla utrzymania i rozwoju nauki w Polsce wynikają z tego, że dysponujemy tu różnymi obiegami piśmiennictwa naukowego. Jest obieg „duży”, polegający na dostępie do pewnej liczby renomowanych tytułów, z których korzysta cały świat. I jest obieg „mały” – produkcja, prenumerata i lektura tytułów nieznanych na świecie, ale zajmujących niekiedy znaczne miejsce w świadomości zawodowej pracowników nauki.

W naukach humanistycznych jest normalne, że korzysta się z czasopism, które nie trafiają na żadną „listę filadelfijską”, nie tylko z powodów językowych, ale także ze względu na lokalny zakres tematyczny. Można tu z łatwością abstrahować od pojęcia lokalności, zauważając jedynie, że są to po prostu czasopisma o wysokim stopniu specjalizacji, mogące liczyć w skali światowej na wyjątkowo niski krąg autorów i wąskie audytorium. Nie ma co mierzyć jakości takich czasopism poprzez wskaźnik cytowalności zawartych w nich publikacji. Jeśli jednak niską wpływowość (*impact factor*) osiąga czasopismo wydawane w języku angielskim, które reprezentuje zakres tematyczny będący przedmiotem zainteresowania na całym świecie (a do takich należy przeważająca większość czasopism medycznych), jeśli to czasopismo jest dostępne na rynku od dłuższego czasu i dysponuje dobrym aparatem promocji i dystrybucji, to trzeba po prostu zapytać o jakość publikowanych w nim materiałów. Nie można natomiast wykluczyć istnienia czasopism publikowanych w języku polskim, które publikują materiały wartościowe w sensie obiektywnym; problem polega na tym, że tej wartości nie sposób mierzyć inaczej jak cytowalnością lokalną, to znaczy wewnątrz jednej społeczności językowej. W kontekście ponadnarodowego charakteru działalności naukowej to nie jest jednak żadna miara. W sensie lokalnych czy narodowych tradycji naukowych – chyba może być; są np. tytuły, które wyrobiły sobie poziom i markę przed okresem globalizacji nauki i osiągnięcia przez język angielski jego dzisiejszej rangi. Jeśli byłoby jakieś narzędzie oceny faktycznej wartości tych tytułów, trzeba by tak budować nasze narzędzia informacji naukowej, by nie tylko nie były one przemilczane w bazach danych, ale by korzystanie z ich miało równie głęboki, wnikliwy, penetrujący charakter co w wypadku zawartości profesjonalnie przygotowanych, współczesnych baz pełnotekstowych i bibliotek elektronicznych.

Spośród ok. 800 czasopism uwzględnianych przez Index Copernicus znajdują się liczne, których domagają się biblioteki i które na pewno są potrzebne uczonym, ale których nie znajdziemy na międzynarodowych listach wzorcowych i w międzynarodowych bazach danych. Określenie, na czym polega ta potrzeba, wymagałoby jednak rozległych i całościowych badań jakościowych i ilościowych. Wydaje się, że przy podejmowaniu decyzji o zakupie takiego czasopisma (mówimy tu w większości o czasopismach drukowanych) kierujemy się intuicją lub naciskami lokalnej społeczności naukowej. Jeśli chcemy je dalej kupować, to musimy przyjąć założenie, że zawierają one cenny materiał, który z różnych powodów nie

został skierowany do czasopism bardziej wpływowych. Jeśli jednak ten materiał jest faktycznie cenny, to musimy objąć go narzędziami zalgorytmizowanego wyszukiwania informacji naukowej – tych dostępnych na rynku lub tych, które dopiero pozostaje zbudować. Dalej, należy ewentualne nowe narzędzia tak scalić z wcześniej dostępnymi, by wszelkie wyszukiwanie odbywało się na raz, zgodnie z zasadą „one stop shopping”. Inaczej nasze instrumentarium informacyjne będzie utrzymywało i utrzymywało podział na dwa obiegi: międzynarodowy i krajowy, profesjonalny i pomocniczy, drogi i tani, szybki i powolny. Z czasem może to przynieść tłumienie oryginalnych idei, które z jakichś powodów nie trafiły do obiegu międzynarodowego, lub też odwrotnie – zaniedbanie powszechnych standardów informacji naukowej na rzecz troski o dostępność materiałów lokalnych, kojarzonych z konkretnymi, choć niekoniecznie znaczącymi środowiskami.

Jeśli nauka jest jedna, nie można już dziś w to instrumentarium nie inwestować. Rozważamy zatem zakup nowych kosztownych serwisów, które wcale niełatwo będzie nam wykorzystywać w sposób pełny i intensywny. Budujemy też własne serwisy, takie jak biblioteki cyfrowe – Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego, Wielkopolską, Kujawsko-Pomorską, wyższych uczelni technicznych. Pod hasłem dygitalizacji kryje się wielki proces retrospektywnej konwersji zasobów pełnotekstowych do postaci cyfrowej. Już wkrótce dokumenty nieskonwertowane pokryją się patyną niepamięci, tak jak karty katalogowe w nieskonwertowanych katalogach. Potrzeba precyzyjnych ustaleń z zakresu polityki informacyjnej, co dygitalizować i co publikować na bieżąco w postaci cyfrowej. Innymi słowy – czym bazy te napełnić i gdzie nakreślić kres tego napełniania, a także – jak zharmonizować obsługujący je aparat informacyjno-wyszukiawczy z aparatem baz komercyjnie dostępnych oraz najlepszych produktów nurtu Open Access. Prowadzić to musi między innymi do utworzenia rozległego, wzorcowego, doskonale przeszukiwalnego zasobu literatury medycznej, dostępnego na równych prawach w obrębie wszystkich ośrodków badawczych i dydaktycznych. Za kilka lat to, co się w tym zasobie nie znajdzie, nie będzie po prostu „trudniej dostępne”, lecz będzie najzwyczajniej niedostępne. Mając do wyboru utopię i milczenie, wybierzmy utopię; jeśli zrobimy to z determinacją, damy przy okazji radę i chaosowi.